

Radosław Wiśniewski

**Tam i z powrotem
Z prób jurodstwa**
Wiersze wyduszone 1998-2006



Brzeg Śląski/Sopot 2006

TAM I TUTAJ. KRWAWIĄC PRZEZ CZERŃ.

*"I know you'll be a star, in somebody else sky, but why
can't it be mine..."*(Pearl Jam)*

Tutaj. Czas płynie zgodnie
ze środkowym biegiem Odry.
Tam. Oleista zawiesina niedopowiedzeń
i walki na plastikowe noże.
Tutaj. Druty telefoniczne wokół szyi
matowy szczęk w słuchawce tnie do mięsa.

Tutaj. Jeszcze w jednym kawałku.
Tam. Mój fantom krok w krok za Tobą
krwawi rozsypuje się na znaczki koperty
kartki wypełnione wydrukiem kardiogramu.

Tutaj. Wieczorna pustka pęcznieje pornograficznie
precyzyjnym głodem. Szlabany wygięte w znaki
zapytania. Czerwone światło na każdym skrzyżowaniu.
Wszystkie policje świata strzegą zastanego porządku.

Tam. Jak Messalina oddajesz
zwiewny krok tramwajarzom
bezwstydną pulsację tuż obok
na wyciągnięcie ręki - przechodniom

i każdy może cię mieć.

Tutaj. Odra wzbiera drugi raz w roku
cierpliwa do obłędu ziemia znosi wszystko.
We mnie pługi znaczą
coraz głębsze wąwozy

woda spływa w głąb
oddaje pole pod całopalenie.

I nie wiem
czy jeszcze
zagramy w zielone.

* „Black” Pearl Jam – tłum.: *Wiem, że będziesz gwiazdą, na czyimś niebie, ale dlaczego nie może ono
być moim...?*

ROZMOWA Z AUTOPORTRETEM I

bądź cierpliwy
za pięć, dziesięć lat
skończę studia dorobię się
lodówki kuchenki pralki

stracę ten ironiczny grymas
będę spokojnym obywatelem
cisza nocna o dziesiątej
zasnąć cicho nie chrapać
pobudka o szóstej uspokoić
oddech ręce opanować
nerwowy tik w prawym oku

poczekaj
w wieku czterdziestu paru lat
umrę pomimo ofiarnej akcji ratunkowej
na zawał albo raka

poczekaj

będę normalny

RYSA JUNGOWSKA. ROZMOWA Z AUTOPORTRETEM IV.

przyjaciele częstują uśmiechem z przyfastrygowaną litością
na wyrost. wszyscy w drodze ku uproszczonej wersji androgynii
ubezpieczonej od nagłej indywiduacji. spojrzenia kobiet wyrażają
obawę o stan sumień małżonków. nikt nie powie wprost. na razie

tylko żarty że sublimacja wychodzi jak szydło. samotny w tym
punkcie znaczy obcy. zagrażasz spokojowi pokoju dzieciennego.
nie pytaj się co dalej. czas wrócić, wyobraźnię na nowo urodzić
jak zapisał mistrz w testamencie. widzisz, wszystkie kobiety

im bardziej twoje - tym mniej prawdziwe, w aureolach doskonale
wygładzonych czasów przeszłych, wspinają się na coraz wyższe
poziomy abstrakcji. odarte z tętna i niecierpliwych ukąszeń
rozpuszczają się w obraz Tej Która Nadejdzie wyprana z barwy

pożądania. ani ich dotknąć ani wcielić. pozostaje płaszcz ochronnych
zakłęb że i tak jest nieźle. że po raz pierwszy wykroczyłeś poza
rozpiętą dychotomię „wolność – bezpieczeństwo” ujawniającą
nowe oblicza. frustrat. substrat. odmieniec. ale wierzę – dasz radę

w jeden kawałek drzazgi podmiotu lirycznego ogarniesz. Przedmioty
ogarniesz. co ma być objawione będzie objawione. eternalne kochanki
stopią się w nierdzewny stop animy i stanie się jasne. dla ciebie łąki
porastające znakami przestankowymi ścieżki podpromienne i cisza

napięta jak łuk nomada na wieki
aż ostatni stanie pierwszy
wśród zastępów o-błądnych wierszy

po tamtej stronie
mandali

PRZEMIENIENIE PAŃSKIE

Alinie i Tadejowi Karabowiczom

łuny nie zakreślały niewidnego widnokregu.
gwiazdy sypały się przez palce Aliny
(a myśmy myśleli że po niebie w dół
spalając się bez śladu i składu).
jabłka biły w ziemię jak w werbel,
karpie z wiedźmińskich stawów
rzucały się w ostatniej kwadrze.

nad szeptem cmentarza starowierców
wiły się wierzby, zbita leszczyna, lilie.
w zamazanym prostokącie resztek wału
ramiona chyliły się pokornie jak buczyna
na słowa Tadeja że tyle z nas zostaje
a reszta jest strumieniem.

wracaliśmy we mgle z niedopowiedzianym
drżeniem ręki, mocnym postanowieniem poprawy
krok w krok za plecami wiły strzygi i czarty
których Tadej nie chciał płoszyć głosem
tylko zamasyście żegnał się prawosławnym
strząsając znakiem Złego z ramion.

jakby wiedział że usta nie zagojone
a woń juchy kusi wędrowne wilki
i że ostrze nie przerdzewiało i nie
stępi go bimber przelany za grzechy

łuny nie zakreślały widnokregu

zostały sino żółte lilie
biało czerwone bociany

one też niebawem odlecą
na przemienienie pańskie

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ MÓWI

po moich zmarłych zostaną skrzepy ziemi
rozstępy powietrza, dusza na ramieniu.
zatem badaj strukturę arytmii przecinającą
sen na wylot, skurcze powiek, trzepot oddzielający
ciało od tchnienia

po moich zmarłych zostanie strumień
spływający uskokami w zacięte milczenie
odblask modlitwy w obcym języku
zatem dopóki ziemia nie zasklepi źródła
- czerp, pij, stwarzaj siebie najlepiej jak umiesz
na ich obraz i niepodobieństwo

moi zmarli przybiją cię włócznią do jesionu
wyłupią oko, utną rękę; będą uczyć do ćwierci
włosa skracać rachunki sumienia i słuchać
jak bije serce dzwonu z krwi i kości

aż przyjdzie dzień gdy będziesz uważnie obserwował
wędrówki ptaków, dusza z ramienia zejdzie pod skórę

będziesz gotowy

by odejść

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWIJ PRZECZUWA

Szczerząc zęby do struchlałych pierogów powoli wraca
do siebie. Słońce przegryza firanki i staje się jasne,
że nadchodzi nieuchronna zagłada; na nic skwarki
maskujące i tłuszc obniżający wykrywalność.

Czas wrócić między rafy skoroszytów, królestwo drapieźnych
dziurkaczy; rzeźbionych od początku świata razem
z biurkami nieruchomych poruszycieli wszystkiego
co jest jeszcze zdolne do ruchu; albowiem tu wszystko

staje się po raz pierwszy; albowiem na początku było
słowo i było dobre, bo było w piśmie z dnia i z sygnaturą.
Archabiurałowie okazują odcienie wolnej woli w zgodzie
z najwyższą racją, podstawowym składnikiem przejrzystości

która sama w sobie się przegląda i sama sobie wystarcza
za potwierdzenie doskonałości; przeżarty słońcem, z portretem
wulkanu korodującym za oknem przecuciem cały
z tamtego świata - nie dowierza ruchowi wokół

wie, że nadejdzie zagłada
nie tylko dla struchlałych pierogów
(znów się nieszczerze do nich szczerzy)
gdy kiedyś we wszystko to uwierzy

KTOŚ Z PRZYDOMKIEM BEHEMOT ZEZNAJE WSZYSTKO

nie rozśmieszaj mnie zasiekami, śledztwem jakiego nie widział świat.
to nie ja, chociaż widziałem ich, szli z odbiciem bezchmurnej
fasady na jasnych czołach. wiedzieli już, że nie idą do hurys
przy rajskich fontannach. trochę ich okłamałem, ale przyznasz,
że stworzyłem doskonały spektakl. jedenasty września. wcześniej
był: sierpień, luty, marzec; tokió, warszawa, drezno, hamburg.

nie mam semickich rysów, śniadej skóry a religię wyznaję taką
jaką wypada. nie nacisnąłem spustu, nie miałem w dłoni noża,
brzydzę się krwią. mówią że wysyłam mową i wolą nielicznych
przeciw licznym tak bardzo a ja tylko tłumaczę wszystko bez skrótów
i niedomówień. to motłoch krzyczy, w tym samym rytmie od zawsze,
gdy ma przed oczami kość albo strzęp mięsa - zabij zabij zabij

od wczoraj chcą zarznąć arabskich śmierdzieli. usłyszysz ich, są blisko.
niedługo im też pozwolę tańczyć na ulicach. zrozum - nie lubię tej pracy,
ale daję im czego chcą.

jestem niewinny

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ MÓWI O KONIECZNYM ODDALENIU

jesteś stąd, ale pochłania Cię już rytm metropolis,
szczęk idealnie naoliwionych zębatek obcego miasta,
w którym wysypiesz się jak piasek, poza nawias.
bez Ciebie potoczy się wszystko, w Tobie wszystko
zmartwieje, chociaż to pozór - stanie się prawdą.

Tutaj ktoś umrze; znajomym urodzą się dzieci; krzywe płoty
będą trwać jak zaduch przedziału drugiej klasy gdy grupa
rezerwy pójdzie do cywila stację wcześniej. będziesz trwać
oddalony od siebie zakłętego w osiadłą nad pograniczem smutę;

chropowatą fakturę ściernisk; tętnice napętniające wzdęte
bębny miast parującym oddechem ludzi i samochodów.
niepoczyszony teraz, pamiętaj zawsze że odzyskasz grunt,
poczujesz wilgoć z rozciętych stygmatów pól. zachowasz ikony
dawno przez innych odkrytych ziem. zasiejesz stopy by wzeszły
wiosną. zanim wniebowstąpisz, zachowaj przeźrocza

tylko to jest Ci dane albowiem ostatnia koszula
nie ma kieszeni.

gotowy by odejść

wróc

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ MILKNIE

“Tam początki i końce nikną z oczu z pamięci...”
(*Josif Brodski*)

początki i końce giną w ślimakach autostrad obleczonych łuskami samochodów, niosących ołowianą hemoglobinę w węzeł miasta; zręby tęsknoty odkształcają się z obu stron nieba w zarysy niepamięci podchodzące krwiami; wiewiórki przeskakują nad ulicą z orzeszkami wskazującymi funta błota warte wertepy na wschodzie; żywicą pachnie

tamto życie i sływa po zdrewniałych karkach płotów - tak prostych, że można dostać choroby morskiej; niedokręcony kran szemrze jak wezbrana Odra. podpięty do wirtualnej kroplówki, ekran pokazuje tętno tamtego Ciebie - grzęznącego w koleinach listopada, wtopionego w emanacje cieni tych co już nie. dializa w toku, stan pacjenta w normie.

za plecami dzieci liderów tutejszej ligi bejsbola zabijają terrorystów. wszyscy wiedzą jak się w to gra: trafić i nie dać sukinsynom szansy; krzyczą jak na meczu, gdy trafią Złego i trzeba spluwać nabić, pamiętaj o tym zawsze i wszędzie - nie bądź głupi, nie daj się zabić

CHOROBA DEKOMPRESYJNA ZAMIAST ANTYLITANII

za grube nici na wasze wątle zastępniki skóry. bąble azotu
pęczniały we wspólnym rdzeniu aż pękły i zobaczyliście
zwichnięte niebo gwiazdziste nad wami po którego równi
pochylej spływała do zatoki poświęta z ostatniego lunatyka.

krztusząc się pożeraliście łapczywie powietrze odgryzając *płaty*
tlenu; tamowaliście dłońmi przecieki z uszu ust nosa. ale pękło
i było za późno i było coraz mniej, chociaż próbowaliście dojść
do siebie ostatecznie dochodząc tylko do siebie.

nie wierzyłeś wypatrując rozwianych włosów na klifach;
przecierałeś szlaki wskroś urwisk, aż z najwyższego ujrzałeś,
że nie ma odwrotu i nie widać świateł na krawędzi oceanu.
jeszcze kamień na kamieniu postawisz i uderzysz by wykrzesać

kształt tamtej. będzie wiotka jak trzcina, o włosach w barwie
pożogi, którą rozniecisz w święto Beltaine aż spłoną wrzosowiska,
i luna stanie nad tym co pękło, i nic nie będzie zdumiewało, nic
nie będzie możliwe, nic się nie zdarzy nad ciszę pogorzeliśka.

nic nad słowo spadające przez firmamenty

nieme

bezciesne

bezdomne

19 WERSÓW BLASFEMII I BŁOGOSŁAWIENSTWA

Nie wystawiaj moich członków na spalenie. chcę
do końca zgnić w Tobie. I rozsieję nasienie zarazy
okruchy morowego powietrza wokół stóp twoich
by nikt nie miał przystępu. I stanę się limfą, krwią,
plwociną Twoją; urwanym snem przez skowyt psa;
urojonym płaczem spędzonego płodu; żyłką
przy strunach. A zatem nie śmieję się głośno, nie krzycz,

nie mów fałszywego *słowa* - może ocalisz delikatną
więzbę krtani aż przyjdzie dzień gdy zachód stanie się
jasnością a wschód zmrokiem. Teraz zapuszczasz
w moich ścięgnach ostrza nowych fundamentów;
zatapiasz krawędź kielicha i czekasz aż się napełni
i pić będziesz a spłynie Ci po brodzie, piersiach, szyi,
na zawsze pustym, suchym wąwozem podbrzusza.

Tylko proszę kołatkę, kołatkę mi zostaw u wieka.
zabrzmi jeszcze głos suchy, niepodzielny i prosty.
Wygrzebię się z gliny. Strząsnę białe kłacza robactwa

I pił będę ze źródła

nie wiedząc co czynię.

NIKT Z PRZYDOMIKEM JURODIWYJ MÓWI O JEDYNYM ANIELE

połknąłeś haczyk z piór i kości. uderzyło do głowy skrzywienie
sprężyn spływające nierównościami sufitu mansardy. pneumatyczny
anioł - wersja de luxe - zasysał wilgoć. rozbryzgiwała się o krawędzie
mglistej postaci, przeistoczonej w kontur najwierniejszej nicości.

nie ocaliły cię wybałuszone dziuple buków na przeciwstoku,
napięte kręgosłupy gór w prześwitach, łzy Pani Elżbiety z ulicy
Zdrojowej, liczenie taktów wybijanych przez koła ekspresów
zawszą donikąd. ścieżka prowadziła zawsze w dół, między

kamieniste jary, błotniste wykroty; na perony chłaśnięte w twarz
drzwiami; przed wywalone w gały kalendarzy sznycowanych
datami spotkań. zawsze w dół, nawet gdy ocierałeś pot
a przyciąganie nieziemskie zmuszało do wbicia wstecznego.

teraz wiesz, że skrzydła unoszą nie wyżej od czwartego
piętra bloku, dwudziestej trzeciej kondygnacji centrali,
gdzie ludzkie pęcherze nadymają się na obraz i podobieństwo.

wyżej sam

na własnych nogach.

KTOŚ Z PRZYDOMKIEM SZAKAL PATRZY PRZEZ OKNO I PLANUJE ODWRÓT, WYSKAKUJĄC Z 18 WERSU.

wargi o wargi, jak lustro polerujące lustro, w którym odbijają się
rozszczeplenia naturalnego światła. widać je na ścianach pęcherza
wędrującego ponad mostem grunwaldzkim, wyciem cielnym karetek.
dłonie jak kolonialne korpusy karne, niewyciężone w marszu
przez sawannę, niosące cywilizację pogańskim dolinom i wzgórzom.
padają szańce rebeliantów: kark, kolano, ucho, pierś –

tak pewne bezkarności. za ich plecami dziadyga chłoszcze odrę
wędką po grzbiecie, wrony zajmują parapety pod nosem szakala,
który żuje nerwowo tytoń jak resztki padliny, ćmi skręty z druków
uchwał o obrotach ciał unieruchomionych przez wargi łączące
monady niczym pępowina, której nie sięgnie nieznany lancet;
bezpieczne od wszystkich sekundników sypiących się z góry,
jakby horda nomadów szyła chmury wszystkimi łukami czambułu.

W słuchawce sztab korpusu drze mordę: *zalegasz pod własnym ogniem,
prorocy ustępują ze skrzydła. rozkaz: nie oglądać się. żadna nigdy
dla ciebie. skrócić frazę. wyrównać wers. nie strzelać byle czym
panu w okno, już lepiej*

wyskoczyć z tego okna.

KTOŚ Z PRZYDOMKIEM DEMIURG MÓWI

chciałbym szybko się rozmnażać. sprawnie odtwarzać
zespół Moich wystudiuowanych grymasów władzy. cięża
trwa za długo i żadnej pewności że będzie tylko Moje

- potrzeba jeszcze ruchomego inkubatora skrzyżowanego
ze zmywarką do naczyń i odkurzaczem, nieudolnie imitującego
wirtualny seks. dziwka i bejbisiter są tańsze, klonowanie

pewniejsze. więc nie truj Mi o wartościach, o których nie wiesz nic.
albowiem jesteś bezcenny - nikt nie chce cię kupić, nie masz nic,
nic nie jest twoje. Ja sprzedaję się zawsze i wszędzie za coraz

wyższą cenę. Ja jestem podmiotem, tworzywem, istotą i
istnieniem Nowego. ty myślisz więc bełkoczesz Ja jestem
więc wchłaniam i kopuluję. Jestem ponad myśl ponad wątpliwość.

mów Mi jak chcesz. może być prezes, akont, kopyrajter.
jestem mistrzem kreacji z niczego - pod Moim dotykiem
co nie istniało staje się przelewem, banknotem, plastikiem;

KTOŚ DESTYLUJE PORTRET EL CHE I CZEKA NA CIĄG DALSZY

najpierw ciernie rwane z rdzy innych obrazów przykuwane przez upartych jak bluszcz Meksykanów oderwać maskę pośmiertną jak z Caravaggia odsączyć juchę z jeńców gdy nie było czasu na dyrdymały odfiltrować dyskretny bukiet wymiocin z zęzy, gdy płynęliście w noc pełną ciał smolistych w stronę ładu gdzie dziewczyny rolowały na udach mokrych nie tylko od upału ulubione cygara zapomnieć biogram synalka argetyńskich lekarzy. ma zostać spojrzenie zaparte o strzeliste hasta la victoria siempre, ze zdecydowaniem jakie dał zapach wysuszonej trawy boliwijskiego płaskowyzu i kule policjantów w czerni. w genui mierzyli nad głowami. miało być bez niepotrzebnych ale każdy był niepotrzebny. tamten podskakiwał i rzucał gaśnicą w okna. a kto podskakuje ten dostaje a życie kulą się utoczy w kamień obojętny jak pierścienie saturna. nie tknęło wzroku comandante na koszulce. barwnik nie trzymał się aseptycznego trykotu, zbierał się w mętne rozlewisko jak po katastrofie tankowca. teraz ty go nosisz z wiarą, że można lepiej się zmarnować. kopia lepsza od oryginału. poczekaj trochę. nadal mierzą nad głowami niepotrzebnych czekających w kolejce.

bo kto podskakuje
temu życie kulą.

TEN CIERNÍ. TEN SZMER. TEN BETON.

Oli i Szymonowi

ten cierní lęgnie się i rozgałęzia pod powierzchnią.
autostrada numer cztery; zgorzelec; sytuacja graniczna
na krawędzi mordobicia przed przekroczeniem; poranek
biuralisty przetykającego koniec lontu, tłący się między zębami.

ta zadra nie zostawia śladów na nadgarstkach; nie pełga
w po-światach początku listopada. szemrze piaskiem
po dębie, sośnie toczonej przez korniki; zakwita mądrością
że Tybetańskie Księgi nie dotyczą tych, co pozostali.

biuralista na znak protestu pcha pod dziurkacz dłonie, puste
jak rozgrzebane gniazda drzew. miały zakląć siostrę, na palcu
wskazującym, który się nie waha, dyndającą jak pacynkę wspak
już nigdy dość bliźniaczych ramion brata.

zaklinacz papierowego absurdu dłubie bezsilnie
pod lewym bokiem. usiłuje wydobyć coś swojego
ale chociaż ćwiczony we współczuciu - obce te łzy

a cierní rozrasta się pod betonem autostrady numer cztery,
przerasta rozpacz, z której tylko drzazga świerzbi pod paznokciem.
i nie przebije tego betonu, tego szmeru na wieku z sosny czy dębu
systematycznego mozołu robactwa; suchości w ustach

która się lęgnie

we wszystkich lustrach.

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ ROBI PRZYMIARKI

to nie tylko gra cyfr na kamieniu. kartki kalendarzy zastygną nad głową i tamci przyjdą po ciebie. zdradzi cię płacz tych po których ty przychodziłeś by mieć ich w opiece. nie wyprzesz się dnia, godziny ani siebie - zsinieją paznokcie zeszywnieją kabłaki mięśni, pękną nie pasujące do formy kości. tamci co przyjdą po ciebie, bez dęcia w trąby i łamania pieczęci, wywloką z ciebie wszystko, za ręce i nogi. nie wzruszy ich szloch, zgrzyt zatartych stawów ani siódme poty jakie występują na wybranych po których przychodzą. skończy się bazgrolenie cudzymi cytatami po lusterkach, klasyczne nadymanie gęby, dorysowywanie sobie obciętego ucha i tła z obrazów mistrzów niderlandzkich w dowodzie osobistym. przyjdą po ciebie - z czterech stron światła i wyprują do ostatniej nitki; nierozwiązane węzły zacisną na krtani, wyduszą duszę do przedostatniego tchu. ostatniego wystarczy by okupić się byle jakim wersetem. za późno na usprawiedliwienia i prośby o odroczenie służby.

czarny płaszcz firmy "Wenders i bracia" to już masz
- za duży o życie. spiesz się z przymiarkami.
już idą.

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODWIJ NA ŁAWCE. TRANSFIGURACJA.

*„...i po co ci było to obce miasto i śmierć niezwykła...”
(Anna Chmielowska „Nietzschemu”)*

ta sama ławka pod zegarem. chłoptasie wycięci żywcem
z billboardów i stukot obcasów zmieniający tonację zgodnie
z prawem dopplera. tonący wśród kakofonicznych fraz wiosny
odnajdujesz się w kontrapunkcie i nadśluchujesz melodii
do której warto byłoby ułożyć neoklasyczny rym, którym
nasyciłbyś wszystkich krytyków. i wtedy zegar nie zostawia
wątpliwości wybijając południe do nogi. i wtedy przetykasz
resztki krwi w kącikach; smakujesz samego siebie; zgarniasz
do podróznego wora kości popołudnia roztrzaskanego o płyty
chodnika godzinę później; oddalasz się torami zakrzywionymi
we wstęgę moebiusa by tropić gatunki wymarłych ptaków; zostawiać
odciski nie pasujące do ogólnie przyjętych form współżycia społecznego.
I wtedy już wiesz że nikt nie rozpozna twojej twarzy bo szukać będą
strzelistych odmienności a wróciłeś ten sam by odkryć że rozstępy
w tle zastąpiły zastępy dobrze przygotowanych do życia. i wtedy
wiesz że nikt nie odczyta kodu pożółkłych negatywów, bo ciebie
wydrapano do kliszy z autoportretów które zadałeś sobie, nie wiedząc
co czynisz. I wtedy ostateczna instancja fabrycznie rozwartych oczu
nie zaświadczy żeś wtedy był na tej samej ławce, uwodzony efektem
dopplera, nieobecny na zdjęciach zbiorowych i indywidualnych
nie nauczony zastępczych form istnienia wtedy i teraz

byłeś gotowy

na wszystko

CZYTAJĄC MATEUSZA. APOKRYE.

*...I otworzyły się oczy ich; I przykazał im surowo Jezus,
mówiąc: patrzcież, aby nikt o tem nie wiedział...*

(Mt. 7-30)

czy nie od nich zaczęło się wypełniać przed czasem? ulituj się
nad idiotą a zrobi z ciebie idiotę. tego się obawiałem gdy ich
spotkałem jęczących, że cholera człowieka brała. miałem
w oczach los jana ale włożyłem na nich ręce a oni przejrzeni

i wygadali a starzy zaczęli przypierać.

myślałem przycichnie wszystko, ale było ich coraz więcej
a ja wkładałem ręce i prosiłem żeby nie rozpowiadali bo
i bez proctw rzeczywistość zaczynała się niebezpiecznie
odkształcać. ze strachu słowa więzły w gardle chociaż głos

pozostał jak trąba w dzień zburzenia jerycha.

tylko Maria Magdalena zdawała się rozumieć to co zacząłem,
choć nie była czystego serca jak inni a obrys jej postaci
w przedświecie, obleczonej w miękkie sploty światła, rozkładające
się na przenikliwej sukni, napawał podwójnym tremendum.

choć oboje wiedzieliśmy że nic z tego.

dostałem ostrzeżenie że przesadzam ze znakami, że w końcu się
doigram i będzie zgrzytanie zębów i drzazgi w plecach. modliłem się
by dali mi dokończyć, albowiem potrzebuję czasu żeby nazwać rzeczy
na nowo, obmyślić lepszy plan naprawy, bo że coś jest nie tak –

i ślepy by dostrzegł i głuchy usłyszał

ale wieść się rozniosła, starcy naciskali aż nie zostało nic
jak pójść na całość i wypełniło się a ja wylądowałem
w pożyczonym grobie gdzie zostawili moje gnijące truchło
bo sabat nadchodził. i podwiązali mi brodę i oczy skryli

pod monetami jak łuski jaszczurcze

i czuję jak się zasklepiają strupy i tętnie powietrze i wszystko
mi jedno. niech gadają. krzyżek na drogę. jedni stworzą poczytną
historię, opartą na faktach (dobrzy w tym są), inni wezmą ją za
ostateczność. a resztę niech biorą diabli.

NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ MÓWI O ENDLÖSUNG

Nie ustawaj w poznaniu smaku absurdu; graj w palanta, balansując na krawędzi; badaj formy chaosu; ucz się niedoskonałych linii papilarnych drzew; studiuj zwyrodniałości krwiobiegów strumieni i rzek, zapamiętaj rysunek cieni pod oczami; nasącz pamięć kłuciem odcisku lewego palca u nogi; podziwiaj asymetrię piersi ukochanej; nasycaj się obfitością pejzaży, plus minus dwie dioptrie na każdą stronę świata.

Niedługo naprawimy cię i przestaniesz obgryzać paznokcie, bezmyślnie gapić się w sufit. Bezbłędny algorytm uwzględni błąd normalności; system przewodzenia nadsynaptycznego zapewni właściwą średnią odchył i odjazdów.

I zmienię imię twoje na Eugeniczny Eugeniusz - nie zrodzony lecz z siebie sam sklonowany, doskonałość z niedoskonałości niewspółistotny z nikim, nikomu za nic wdzięczny, wolny od wszelkiej więzi która z tego świata pochodzi

i szczerą owczarnie galaktyk albowiem gotowy będziesz

ostatecznie rozwiązać

dowolną kwestię

**NIKT Z PRZYDOMKIEM JURODIWYJ ROZMAWIA Z CIENIEM.
RYSA JUNGOWSKA II.**

Zbigniewowi H.

Zdecydowałem się. To na razie tylko zamiar, wybacz i nie zdradź
mnie przed nimi. Wiesz że oni są gotowi zrobić z Ciebie kukłę,
im ważniejszy byłeś tym większa atrakcja, czyli pośmiewisko.
Zdecydowałem, że zeświruję. To mi pozwoli przejść z Tobą na „Ty”,

choć nie rozwiąże problemów z tożsamością. Nie wiem nadal
gdzie kończy się papier a gdzie zaczyna ręka i któredy przebiegają
koryta naszych podziemnych rzek, gdzie łączą się, rozwidlają
i mieszają swoje ciemne płyny. Jak nie obrócę swojego szaleństwa,

wciąż wydłubuję z oka nic Twojego spojrzenia, przy skaleczeniu Twoje
antyciała ściekają posłusznie w martwiejące sentencje. Nawet teraz
czytam ich przewidywalny kształt i kontur wyrzynany palnikiem
zdradliwego świtu w litej płycie przyszłości. To nieznośne wciąż nie umieć

gadać - cztery lata po Tobie, destylować prostą postawę ciała (daleko od doskonałości), dwie
krzywizny kręgosłupa, stabilizację czaszki, zawsze
gotowej i otwartej na cios w skroń, strzał w potylicę. Niezdolny chodzić
prosto, z Twoim cieniem zawsze za plecami, postanowiłem zwariować

by przestrzeń, której przybywa stopni swobody w nieograniczonej
manipulacji, autostrad, pasów startowych, spłaszczyć do rozmiarów
odbicia w lustrze, brudnej szybie, kałuży. Postanowiłem zostać świrem,
umówmy się - nic nikomu nie powiesz a ja postaram się być sobą:

jeść, pić, patrzeć, obchodzić rocznice. Tylko Ty i ja będziemy znali prawdę
że nie ma żadnego „ty” i „ja”. Jest tylko cień
(ma cztery lata dojrzewa do pełnociemności).

lipiec 2002

WERONIKA POSTANAWIA NIE POZWOLIĆ NIKOMU UMRZEĆ

Nikt – Weronice (albo na odwrót)

milczałam gdy badałeś bieg strumieni żłobiących krwistą glinę,
z trudem opierałeś się naciskowi błota na zboczach Osówki,
osuwając się z każdym krokiem na widok cieni strażników
fabryki mgieł powywieszanych na widmach drzew. milczałam

ale gdybym znała tajne runy drwali, którymi znaczą pnie do cichej
i bezwzględnej selekcji jesienią i wiosną, wypisałabym na twojej korze
ułaskawienie dla świerków, dla gnejsu w górę korzeni unoszącego
stygmaty, o które toczą spory historycy labiryntu. milczałam

gdy błądziłeś w jego żelbetowych wnętrznościach i myślałam: „*idioto*
- *tutaj jestem*”, gdy gubiłeś się w zasypanych szybach prowadzących
donikąd. widziałam, puste obłoki co zasadziły się na nas, gdy pięliśmy się
ku przełęczy, mijając gorejące krzewy zadusznych cmentarzy wsparte

na szczeblach sudetów. wtedy postanowiłam. nie dam ci utonąć
w strumieniach wypadających z otwartych sztolni. będę trzymać
twoje dłonie o świcie, zanim odwieziesz mnie tam, skąd wysyłasz
takie jak ja w bydlęcych wagonach na drugą stronę pamiętnika.

młody listopad szklął się na ciężko rannym niebie i myślałam:
„*wystrzegaj się złych snów, nie uchylaj okna dla duchów powietrza.*
wróć z odbiciem twarzy nikogo na mandylionie. i stanie się
wedle mojej woli, że nadam ci imię, odstąpią mgły i zamieszkas

między nami.”

Góry Sowie 2002

OSTATNI AUTOPORTRET RZUCA SŁOWEM POŻEGNALNYM W NIKOGO Z PRZYDOMKIEM

*„...as daylight broke, I saw the earth
the trees were burned down to the ground...”**
(Peter Gabriel, “Don’t Give Up”)

Bądź pozdrowiony, którego psy gryzą w legowisku jego,
w zaułku idiotów. Dałem ci postać człekopodobną, bym stając
po właściwej stronie lustra, wiedział, że nikt mnie nie kupił
ani nie sprzedał. Dlatego też, dałem Ci prawo do zadawania pytań
bez właściwego znaku na końcu zdania. Chciałem żebyś był obok
choć nie ta płeć i nieokrzesany stosunek do rzeczywistości.

Chciałem wlać w Ciebie, a zatem ocalić, tę cząstkę mnie,
którą pogrzebię stając się tym, kim przeznaczone jest mi zostać,
od czego wykręcam się prawie trzydzieści lat. Jednak za dużo już
mojej krwi krąży w Twoich żyłach i za dużo gadasz.
Jeszcze się ktoś spostrzeże.

Dlatego oddalam Cię w sepiowy krajobraz, momentalnie
oświetlony w potrzasku między cementowymi obłokami
a przemarzniętymi płucami kukurydzy, które przemijają
za jesienną szybą. Posyłam Cię tam, gdzie nikt nie mówi
dobranoc i nie słucha pouczeń.

Nie zwracam Ci wolności, nie po to powstałeś, ale idź
i uczaj normalnych, poniechaj mnie wreszcie a zaprawdę
powiadam Ci : nie pomyślą nas więcej, pytając sprawiedliwie:
kto jest kim i dla kogo. A nadejdzie ten dzień, że wrócisz

i ja będę gotowy

na Ciebie

*...kiedy światło dnia przelamało się, ujrzałem ziemię/ drzewa były spalone do cna... (tłum. aut.)

ABEL ODMAWIA WYDANIA LISTÓW I MÓWI DO BRATA: ZABIJ MNIE GLINO

załóż mój ulubiony mundur, w którego sprzączkach
możemy przeglądać się jak niedoskonałe inkarnacje
lodów spitzbergenu. odczytaj mi cudze prawa do listów
do siedmiu zgromadzeń a potem zabij mnie glino.

załóż epolety szyte splotami grubymi jak zaskrońce
na spróchniałym pniu lipy, której zapach przenika naszą
przedawnioną historię. póki jest czas przyłóż mi do głowy
oksydowany łapacz snów wynaleziony przez plemię Dzierżyński

i zabij mnie glino. bądź natchniony i bezbłędny. tylko ofiary
takich zabójców przechodzą do historii. Ona zaś odda się
tobie w takt hymnu strażników rewolucji. na zawsze
twoja i niepodzielna jak republika frajerów, której służyliśmy,

dlatego – zabij mnie glino. moje kości zaświecą w rowie
jak brzoźowe próchno wskazując ci drogę do domu. Na koniec
przybędą półnaczy wariaci i rozwłócą je pod bramą siódmego
zgromadzenia promieniującego jak pęknięty reaktor.

MISTRZ EREMIASZ OTRZYMUJE OD JUSTYNY BARGIELSKIEJ MISJĘ I PORZUCA JĄ

chciałaś mnie ustanowić twierdzą przeciw światu
na nieoswojonych zboczach atlasu i pośród cedrów
libanu, nie wspominając ani słowem, że powstaną
słowa, języki i ludzie, że nie uspokoją się póki nie
zobaczą jak kruszą się bielone ściany i podmuch
wchodzi w niebieskie okiennice. powiedziałaś tylko,
że czas abym się ustanowił, oparł na słupie szymona,
skale piotra. bowiem nie powstają z krzykiem powalone
cedry w lasach libanu, a trzeba aby powstały i nie powracają
ptaki wypuszczone z klatek o świcie a czas by powracały.

masz misję, mówiłaś, i nie Ty mówiłaś, ale On mówił
przez Ciebie bo tak przeczuwałaś w mowie swojej,
choć nie wierzysz w Jego istnienie, jak wierzysz
w kamienie na dnie żlebu, bruzdę po lodowcu.

tymczasem spójrz - nie potrafię nawet zatrzymać ikony
archanioła gabryela, gdy w podmuchu wykruszają się
z niego opiłki światła i staje słup do którego przybijam
odmowę wydania dokumentów i drę w drewno głosy.

a do progu eremu podchodzą podstępni powstańcy
z lasów libanu. stają w odrzwiach zasłaniając świat,
niczym cedry. niosą szron zebrany na sztywnych łąkach
między widłami oławki i odry. jest płasko ścięty w kręgi
jak hostie. podają mi je abym jadł i każą powtarzać:

eloi eloi

IN ABSENTIA. WIELKI USKOK.

Ostatniej

głębinowe istoty, które chciałeś ocalić, pozbawione nacisku
ciemnych warstw wody rozdymały się tym gwałtowniej im wyżej
je niosłeś ku powierzchni światła i pękały w twoich dłoniach,
złożonych do otchłannego pacierza na kształt dzwonu
ratunkowego a ich wnętrzości nie układały się w żadną wróżbę.
szukałeś fragmentu suchego łądu chociaż wiedziałeś, że nie ma
w ciele ani jednej witki, która nie byłaby trącona językiem, paznokciem
jednej z trzynastu zaciekłych kobiet i jedynej płowej wdowy.

kiedyś się wynurzysz jak batyskaf znad wielkiego uskoku,
w szumie czerpni powietrza i pochłaniaczy węgla drzewnego.
oddech będzie spokojny jak siniejące palce wczepione w skały,
jak dłonie przykładane do uszu, oczu, nosa, powstrzymujące
pływy. życie będzie kłębem szarańczy; śniegiem zmieszonym
z listowiem w wietrznym kotle. obłok będzie opadał płatami
na zwarte szeregi fal idących przeciw wieczornym klifom.
i będzie twój oddech wtłoczony w usta ostatniej kobiety na brzegu

jak niebieski płomień.

KIEDY OTRZYMUJESZ ULTRĘ, WYNURZASZ SIĘ POD SURABAJĄ

*Zatrac ich Panie! Rozdziel język ich; widziałem bowiem
bezprawie i rozruch w mieście*
Psalm 55, w. 10.

Archaniełowi Gabryołowi

kiedy otrzymujesz ultrę to jest znak, że wzrasta zaciekleść
kobiet idących po twoich czerwonych śladach jak tamten facet
po wodzie. depesza nakazuje pozostać w zanurzeniu, słuchać
śpiewu humbaków, ładować nim akumulatory, obmyślać kąć

pod jakim oddasz pojednawczy strzał. po wynurzeniu widzisz
światła surabai, dookoła jest morze jawajskie połyskujące
własnym ogniem i wiesz że czekają na ciebie w mieście. musisz
oswoić łuki z cegły, bruk układany w koncentryczne kręgi

przez facetów ubranych w płaszcze, świecące w ciemnościach.
zupełnie jakby był jeszcze rok 2006 a wojna była daleko, ropiejąc
w nieistotnych miejscach. takie kręgi, takich facetów można spotkać
tylko głęboko pod wodą skąd przychodzą fale i zaczynają się rzeki

wędrujące ku źródłom w górach więc kiedy dostajesz ultrę udajesz
się do tego miasta gdzie stroszy się falista blacha i ludność urządza
rozruchy. skrzydlate gady zasypiają głowami w dół i mają twarze
podobne do twoich wierszy. są gotowe do lotu ku większemu

obłądowi. to miasto zasłużyło na taki los. dla ciebie jest buk,

maleńki jak przyjaciel.

JURODIWYJ WRACA DO NIKOGO

*“Ale mam nieco przeciwko tobie,
żeś miłość swoją pierwszą opuścił”
(Objawienie św. Jana Teologa, Rozdz. II, 4)*

musiałem wrócić słysząc jak rzucasz pogańskie klątwy,
od których pękają stągwie a w zawężeniach rzeki podchodzi
wodą zator lodu. z niego to potajemnie odsączasz czerwień,
jakbyś nie miał miłosierdzia dla przelewanej krwi. w jej przezroczystości
ujrzesz niewiarę swoją niczym stos skorup, których nie złożysz
powtórnie w kształt jaki był ci dany i nie dowiesz się czy istniała ta,
w której ciepłym wosku odciskałeś kształty błogosławieństwa.
i nie odpowiem też czy inne nie będą jej przeklinać, napętniając się
twoją niecierpliwością i zastygając brzemienne jak stągwie.

a wiedz, że mam nieco przeciwko tobie bowiem zamykasz oczy
nad przepaścią, odbierając innym prawo do lotu. nie poznałeś
nici łączącej sny mocniej niż drzewa łączą się z ziemią i nie wiesz,
że zostało wyśnione to, co bierzesz za kamień. musiałem wrócić,
widząc, że zamykasz oczy wyprzedzając karawanę bestii
przebranych za ciężarówkę o wielu źrenicach; otwierasz szeroko
usta i malujesz resztkami tempery na końcu języka autoportret
z czasów pierwszego krzyku. w kolejnych ujęciach widzisz to,
co sobie pisałeś: oto pękają blachy i bestie z obojętnością w wielu
źrenicach przewracają cię na dach. wbijasz palce w adwentowe
chmury nad węzowiskiem asfaltu i słyszysz kobietę szepczącą
jakby strumień wypływał ze stągwi rozbitej na cudzym weselu:

*lepiej ci było zostać Idioto w zaułkach zbyt ciemnych dla złoczyńców,
gdzie nikt nie potrafił wytrącić cię z pejzażu pustych dłoni, odbicia twarzy*

po tamtej stronie rzeki.

HEATSEEKER. ZMIENNY PRĄD. ZNIKAJĄCY CEL.

"A kto umarł, ten nie żyje, w imię zasad skurwysynu"

Franz Maurer

odradza się kto odchodzi w dobrej wierze, w wielu postaciach
jednocześnie a potem myli ślady i wpada na nagonkę. i chociaż
znika – to prawo sławiony będzie, kto dogląda stad swoich
oblędów pasących się na podmorskich łąkach i żywi je sobą.

a kto znika temu krajobraz staje niepodległością w oczach
i wybijają mu mosiężnymi krzyżami starocerkiewne przymierza
i namierzają go niszczyciele w osłonie konwoju wiozącym psie
truchła na stoły magnatów i wymierzają karę karmienia gołębi.

a kto odchodzi ten bierze na siebie meandry otwartych wód
i wielka jest gorycz jego błędzenia wśród obcych dzieci
gdy nie znajduje podobieństwa w twarzy karmiącej ptaki,
mieszającej podstępny utrwalacz w posępnej chrzcielnicy

bo kto wychodzi w morze ćwiczyć mimikrę, udawać ikonostasa,
temu ozdobią obręczami nadgarstki gdy zbliży się pora płacenia
zaległych rachunków w kasie okrętowej na dnie zatoki.

bo kto nadchodzi ten zatrze ślady swojej śmierci z której powstał
i ścigać go będzie oko nieomylnego snajpera. i ścigać go będzie
zażarciej niż przez pożary pożarci. bo kto znika ten nie wraca

w imię zasad.

GROSSTRAKTOR METAPHISICUS.

powinieneś był to wiedzieć. nie wolno wyjmować o zmierzchu
gwoździ wbitych w wapienny obojczyk nad kotliną. nie znosi się
do spokojnych miast miedzi brzęczącej wykradzonej spod progu.
nieuważnie postąpiłeś i pod sudecką gwiazdę się uciekaj idioto
gdy grosstraktor metaphisicus wybudza się z cichym pomrukiem
po drugiej stronie gór suchych jak portal świątyni. cały mordor
rusza zwartym czambułem z broumovskich ścian, żłobiąc zbrocza
prosto w rozwarte szczęki pogranicza. bądź pewien, że wgniecie
twój jasny kontur w skałę. przyczajony, podobny łucznikowi
na sępiim gnieździe, czekaj na ten cień, bądź niczym lirnik
o zapomnianym obliczu wroga. nie lękaj się. Śpiewaj.



Radosław Wiśniewski – ur. 1974, mieszka w Brzegu, pracuje we Wrocławiu, pisze wiersze, recenzje, szkice, felietony, czasem coś ambitniejszego. Wydał zbiory wierszy: „Nikt z przydomkiem” (Toruń 2003) oraz wspólnie z Dariuszem Pado „Raj/Jar” (Nowa Ruda 2005), lada moment ukaże się w wydawnictwie „Zielona Sowa” drugi samodzielny zbiór wierszy „Albedo”; współpracuje z kilkoma pismami literackimi. Przygotowuje książki krytyczno-literackie „Prozelita” (o prozie) i „Marszbatalion” (o poezji). Zbiór „Tam i z powrotem – próby jurodstwa” to propozycja dla przyjaciół i znajomych, która zbliża podmiota, autora i trochę nadrywa maski. Przynajmniej w założeniach.

Fotografia na okładce: Autor

Fotografia autora: Katarzyna Lechwar.